REFORMA.

№ 1. Sanok, 25 sierpnia 1868. Rok I.

Polityka.

Od kilku lat dzieje się u nas wszystko w imię „Polityki." Czego nie wytłumaczysz rozumem i sumieniem, to ci wytłumaczą „Polityką". — I wszelki opór sumienia i rozumu umilknąć musi na zaklęcie tego słowa czarodziejskiego.

Prostym rozumem wieśniaków pojmowaliśmy politykę, jak się pojmuje gospodarkę: polityka kraju, tak rozumieliśmy, to gospodarka spraw krajowych. — A więc gdy przed 8 laty powiedziano krajowi, że wypuszczonym zostaje z pod kurateli i niechaj sam sobie gospodaruje: uradowaliśmy się niezmiernie, bo nie ma to jak gdy gospodarz sam roli swej dogląda.—I spiesznie i ochoczo wziął się kraj do urządzenia gospodarstwa i poczęto radzić, komu je poruczyć. — Na tem rzecz: bo dobremu gospodarzowi w rękach rośnie dobytek, a złemu w rękach ginie. A kraj wszystek wolną wolę swoję objawiać miał jasno i swobodnie — każdy według swego rozumu i sumienia. —

Aż widzimy, to tu, to tam stają do steru obrad wyborczych samozwańcy, wołając na gwałt, na zdradę, gdy kto im nie chce być powolnym, gdy kto głosować nie chce według ich woli własnej.

Źle się dzieje, pomyśleliśmy, zła to wolność, co się poczyna od poniewierania wolności, a gorzej jeszcze względem braci — a już najgorzej, że przez to zaraz na wstępie pomąci się w głowie pokoleniu dorastającemu pojęcie gwałtu i wolności, i stępieje czułość na gwałt i na wolność.

I mówiliśmy: Jaki zasiew, taki plon — kto gwałt sieje, ten gwałt zbierze. — Lecz wątpliwości i obawy nasze umilknąć musiały przed głosem sterników: Wasze uwagi, to uwagi wieśniaków;

wasze głowy za ciasne na to, to „Polityka“. — Może to i prawda, pomyśleliśmy i zamilkli.

Lecz, gdy ujrzeliśmy, to tu, to tam podstępne knowania i poniewieranie godności wyborców, i deptanie zasadniczych praw wolności wyborczej, i ohydne potwarzanie ludzi na cześć zasługujących dla wynoszenia innych na cześć taką nie zasługujących; i ujrzeliśmy, jak poruszano najbrzydsze namiętności i używano wszelkich środków dla dopięcia celu, t. j. dla wyniesienia pewnych osób na posłów: to już nie mieliśmy siły, by stłumić głos, co się nam z piersi wyrywał. „Więc z kłamstwa wyróść ma prawda, a z podstępu sprawiedliwość, a z brzydkich namiętności poczucie godności — a z najbrzydszej ze wszystkich, z egoizmu, gotowość poświęcenia siebie za ogół“? — A przecież to dawna rzecz: „Jakie ziarno, taki owoc“.

Ordynaryjne to skrupuły wieśniacze — zawyrokowała na to sterująca opinija galicyjska — tego nie zna „Polityka“; jedno tylko zna przykazanie: *Salus rei publicae suprema lex esto.* —

Salva conscientia, dodajemy, jako chrześcijanie — była odpowiedź nasza. Toć to nauka pogańska, z owego świata, gdzie respublica było to Państwo, a Państwo było wszystkiem, a człowiek niczem — a Państwem były klasy panujące. W świecie chrześcijańskim każden człowiek równy być ma drugiemu we wszystkich prawach i obowiązkach; a respublica, to wszystek lud od pierwszego do ostatniego. — A prawem praw w społeczeństwie chrześcijańskiem jest sumienie. — A naród chrześcijański, któremu wydarto wszystko, niechaj przynajmniej przed Bogiem i ludźmi jaśnieje sumieniem — a będzie miał mir u Boga i u ludzi. —

Pojęcia ludzi zacofanych — zgromiła opinija sterująca — niedorzeczne zabytki katechizmu parafiańskiego! Polityka nie potrzebuje sumienia, jak je mają ludzie prości; ona potrzebuje tylko rozumu. A rozum polityki mówi: Każden środek dobry, byle do celu prowadził. —

Jeszcześmy się odważyli odrzec: Ależ środek zły, to już jest złe, a ono pociągnie za sobą według praw natury znowu złe, i wzmoże się jak chwast i nietylko przygłuszy to, co zdawało się dobrem, ale zalęgnie obszar daleko i szeroko, przygłuszając nawet zaród dobrego. A tu tyle złego zewsząd obległo niwę ojczystą, że

przysparzać złego, wydaje nam się ciężkim grzechem. Bo zły środek, to jak arszenik, co się nim tuczy koni, których inaczej utuczyć nie można. Jak na drożdżach urośnie tusza i stanie koń na pozór w pełni siły; ale w wnętrzu jego zabójczo nurtuje użyty zły środek, i gdy przyjdzie najlżejsza poniewierka, szaruga lub pokarm lichy, stanie koń bez sił i zmarnieje nędznie tak szybko, jak szybko utył — i właśnie w chwili, gdyby go potrzeba mieć jak najsilniejszym. — Ależ uczciwy człowiek takich koni nie daje bratu, zwłaszcza na mozolny początek gospodarstwa. — A jeżeli doświadczenia z życia folwarcznego nic nie znaczą wobec Waszej „Polityki", tedy spytajcie politycznych dziejów narodu polskiego, w chwili przedśmiertnej, a te wam okażą jasno, że zły środek, choćby go największy używał rozum, zawsze tylko do złego doprowadza celu. Pokażą Wam Czartoryskich używających Moskwy dla dźwignienia Polski — a skutki tej polityki opowiedzą Wam dzieje moskiewskc-polskie od Suwarowa aż do Murawiewa i aż do tej godziny. —

To była widocznie zła polityka, tylko nierozum mógł się chwytać takiej polityki; dla tego takie wydała owoce — była na to replika. (Znaliśmy jednego pomologa, który dowodził jak najjaśniej, że się nikt przed nim i oprócz niego nie znał na pomologii, i który zawsze umiał poznać gatunek drzewa, gdy już ludzie skosztowali owocu tego drzewa). Z postępem tak szła replika dalej — i polityka postąpiła. Co tam teraz oglądać się na jakieś przykłady z dziejów zamierzchłych! Dzisiaj inny czas, inna polityka. Otwórzcie oczy, a obaczycie, że dzisiaj światem rządzi „Polityka utylitarna".

Tu już z podziwu nie rychłośmy przemówili: A to co? to tak, jak gdybym powiedział: Nowy sposób gospodarowania, który przynosi plon, użytek. — A toć jak każda gospodarka musi przynosić plon, użytek, inaczej nie jest gospodarką: tak i każda polityka, gospodarka w sprawach krajowych, musi krajowi nieść pożytek, inaczej nie jest polityką. A więc polityka, co wymaga pracy uczciwej i sumiennej około dobra pospolitego, a nadewszystko strzeże największego pożytku, to jest godności i sumienia, jest prawdziwa polityka pożyteczna, czy też, jak wy nazywacie, utylitarna. —

Macie widocznie głowę nabitą jakiemiś wyobrażeniami, które się w polityce na nic nie przydadzą, a dla polityki utylitarnej są tylko zawadą. Kiedy więc zrozumieć nie możecie ani oświaty tegoczesnej, ani postępu czasu, ani polityki postępowej, więc nie odzywajcie się, nie psujcie zgody, tylko róbcie, co wam w imię polityki robić każemy — bo tylko ta polityka przyniesie krajowi plon obfity. —

I pochyliliśmy głowy w pokorze i milczeniu, i milcząc czekaliśmy plonu „Polityki“.

A gdy zgromadzili się wybrańcy kraju, patrzyliśmy, jak też sobie poczynać będą z nowem zagospodarowaniem. A w gospodarce łanowej, nim przystąpię do pracy, szczególnie, gdy mam gospodarkę od kogo poruczoną, muszę najpierw dobrze poznać granice obszaru, trzymając się pierwszej maksymy gospodarstwa: „Cudzego nie rusz, swego nie daj ruszyć“. Potem obmyślić pracę, rozdzielić ją należycie pomiędzy pracowników, a już potem jąć się pracy jak należy, i uprawić wszystko jak należy — a wtedy „jużeś nie ty krzyw, już to wszystko Panu Bogu poruczaj“ — jak to mówi stary Rej. —

A tu mija dzień za dniem, i tydzień za tygodniem i wobec pola na gwałt pracy wołającego, wobec pola, jak oko sięgnie, chwastem zapuszczonego — stanęli już wybrani kraju gospodarze, i pełno było szumu i gwaru i oświadczeń i przyrzeczeń ze wszech stron — a kraj wygląda plonu zapowiedzianego. I szły wykłady przeróżne o rzeczach przeróżnych, o regulaminie, i o początku narodów i języków i o płacy dziennej za robotę — a tu pożytku z roboty jak nie ma tak nie ma. — Co to jest? zapytaliśmy. To polityka, odpowiedziano. Ależ zmiłujcie się, toż kraj łaknąc wygląda plonu z roli, którą oddał w gospodarkę swym wybrańcom, a tu większa część ich nie zna nawet granic tej roli i nie przystępuje do wytknięcia jasnego tych granic, i bez wszelkiego planu obmyślonego nie wie gdzie siać, i co siać i jak siać i sieje pomiędzy chwast puste łuski. — Jakiż ztąd będzie pożytek?

Otóż to jest, odparto nam niechętnie, zawsze politykę mierzycie gospodarką. Może się to dało robić z polityką czasów dawniejszych, ale dzisiejsza polityka postępowa, to wcale co innego. Nie jest to polityka ociężała, przykuta do planu jakby do łańcu-

cha, ale polityka zwinna, ruchliwa, a nadewszystko sprytna — która każdej chwili ma plan inny, i środki inne, i pojęcia inne i dla tego dzisiaj nie wie, co jutro robić będzie. Nie pęta się ona żadnym planem stałym, nie krępuje żadnemi zasadami, i nie przebiera w środkach, ale sprytnie chwyta, co się da pochwycić. To jest jedyna polityka, która nas teraz zbawić może; siedźcież cicho, a ujrzycie wnet zastawiony przed krajem plon obfity.

Może ich prawda — pomyśleliśmy i siedliśmy cicho, gotując się na plon obfity.

A wybrańcy kraju radzili długo, aż nakoniec większość ich uradziła, że trzeba wysłać do Wiednia, aby rzecz „poforsować". — Byli tam i tacy, co nie myśleli, aby to się na coś przydało; ale było ich mało, a gdzie większość, tam i prawda. I ruszyła delegacya w podróż do Wiednia.

A my ciągle milcząc pilnie wyglądamy plonu. I słuchamy pilnie, i wszystko życie nam w słuch przeszło, i pilniej, i coraz pilniej słuchamy tych głosów galicyjskich w Rajchsracie, i słyszymy tylko wiatr, co pomiata strzępkami złotych snów galicyjskich — aż nakoniec wezbrana powódź polityki galicyjskiej cichnie co raz bardziej i sączyć się poczyna ruczajem coraz skromniejszym, aż znika gdzieś w nieskończoności pustyń piaskowych — i cicho od strony Galicyi w Rajchsracie, cicho, że słychać przewiew powietrza po kieszeniach galicyjskich.

Co to jest? pytamy. To abstynencya w skutek polityki. Abstynencya — mówimy — wstrzemięźliwość, piękna cnota, ależ dla pełnienia jej nie potrzeba było chodzić aż do Wiednia. — A dobrzeby wyszedł rolnik na tem, gdy przyjmie i drogim pieniądzem opłaci żniwiarzy, a na nich wśród roboty przyszłaby abstynencya. — „Zawsze wracacie do tych waszych pojęć folwarcznych, a to polityka, a nadto postępowa, tegoczesna, subtelna." —

Tak nas pouczono i znowuśmy zamilkli. — A kraj także stawał się coraz bardziej milczącym, bo coraz mniej tłumaczyć sobie umiał tę politykę, i pojmował tylko, że się nie dobrze dzieje. — A czem gorętsze były oświadczenia i czem świetniejsze były przyrzeczenia mu czynione, tem oziębłej przyjmował teraz wszelkie oświadczenia i wszelkie przyrzeczenia; a czem większe było jego

zaufanie do sterników opinii, tem większa teraz owładała go nieufność — aż urosło z tego złe najstraszliwsze, zobojętnienie.

Wśród takiego stanu umysłów, łatwo było „przywódzcom ruchu politycznego" prowadzić dalej swoją politykę postępową, i przeprowadzić wybory ponowne r. 1867 w myśl tejże polityki. — I znowu stanęli do gospodarki w sprawach krajowych, w imię kraju i z ramienia kraju, z małym wyjątkiem ciż sami; i znowu rzeczy poszły tym samym trybem, ale poszły dalej.

Lecz usłyszeliśmy już o dwóch stronnictwach reprezentacyi krajowej i radość wstąpiła w nas: bo oto, myśleliśmy, już jest podział pracy, a więc i plan dokładnie ułożony na podstawie wszystkich obfitych doświadczeń ubiegłych lat sześciu — i co rychlej pragnęliśmy ujrzeć te stronnictwa w pełnej akcyi.

I szczęście nam posłużyło, żeśmy je ujrzeli w akcyi jak najpełniejszej, i usłyszeli politykę galicyjską w wykładzie jak najjaśniejszym. Bo przybyliśmy w chwilę, gdy właśnie większość bojowała z mniejszością o nową podróż do Wiednia, i byliśmy świadkami pamiętnego zwycięztwa, które większość odniosła nad przeciwnikami swymi na dniu 2 marca 1867. I usłyszeliśmy „Politykę" zwycięzko głoszącą swój program: „Pojedziemy do Wiednia, aby opowiedzieć tam, co podróżni opowiadają, że lew, zanim pożre Beduina, pierwej go całuje." —

A program ten wygłoszony został wśród zgromadzonej reprezentacyi kraju i wobec słuchającej publiki, z mownicy sejmu galicyjskiego, na dniu 2. marca 1867.

Wiedzieliśmy już teraz, co jest polityka sprytu i subtelności i co jest większość idąca za tą polityką. A dowiedzieliśmy się wnet także, co jest mniejszość stojąca naprzeciw większości i jej polityce.

Bo oto poczęto wybierać delegatów. Wybrano z pomiędzy tych co głosowali za delegacyą — i to naturalna — aż oto poczęto wybierać z pomiędzy tych, co przeciwni byli wysłaniu delegacyi. Tu już nic rozumieć nie mogliśmy, bo już nie mieściło nam się w głowie, jak można wzywać kogoś, aby czynił wbrew swemu przekonaniu. — Aż oto widzimy, że posłowie mniejszości przyjmują to wezwanie, i przechodzą pod sztandar, którego się głośno wyparli i podają rękę do sprawy, którą jasno i jawno potępili.

Nie chcieliśmy już nic słyszyć i widzieć, bo gnał nas wyziew trupi braku przekonań, bo ujrzeliśmy wątpliwości i obawy nasze, i przeczucia złowrogie jak urosły w olbrzymie potwory, ziejąc dżumą moralną i zaciemniając niwę ojczystą.

I poznaliśmy, że pierwszym i nieodzownym warunkiem wszelkiej pracy skutecznej jest przekonanie. Bez przekonania nie ma czynu; może być chyba ruch nieużyteczny. Bez przekonania nie ma życia moralnego, coby tworzyło całość nierozerwaną: bo jedynem zdrowiem życia rzeczywistego, życia plon wydającego, jest przekonanie. Przekonanie, to rdzeń, z którego i wkoło którego rośnie życie człowieka czy narodu w silnie spojoną całość organiczną. — Tak i całość organiczna stronnictwa powstać może tylko ze rdzenia takiego. My zaś widzieliśmy w reprezentacyi kraju szermierkę zdań ale nie walkę przekonań, których by broniły zastępy uszykowane z sztandarami rozwiniętemi; widzieliśmy ludzi kupiących się raczej wkoło pewnych osób, aniżeli wkoło pewnych zasad, i dlatego widzieliśmy różne frakcye, różne strony — ale żadnego stronnictwa.

Ależ moiście wy — pouczyła nas raz jeszcze sterująca polityka galicyjska — to poetyczna sentymentalność z waszej strony, chcieć w polityce działać według jakichśić niezłomnych przekonań, jakichśić zasad niewzruszonych. Polityka ma tylko korzyść na oku, a polityka kraju ma na oku tylko korzyść kraju. Obaczycie, jaka ztąd korzyść spłynie dla kraju, gdy ocenią w Wiedniu powolność naszej większości sejmowej — i obaczycie, jak obmyśloną praktyczną politykę tę ocenią wszyscy politycy wytrawni.

„Jakież ocenienie być może takiej polityki, z której nie bije w oczy poczucie godności“, zapytaliśmy.

„Dla dobra kraju — powiedziano nam na to — powinniście się raz już pozbyć tej dumy niewczesnej i tej poetycznej sentymentalności waszej, i wielbić politykę, która przynosi i korzyść rzeczywistą i uznanie zręczności politycznej“.

I zebraliśmy siły wszystkie, oczekując sposobności wielbienia tej polityki, aż usłyszeliśmy, jak Wiedeń ceni politykę galicyjską. „Polacy — tak kończy *Die Presse* artykuł z dnia 22. listopada 1867 r. — przypominają żywo Rutenów r. 1848, co się hrabiemu Stadionowi dawali sznurkiem poruszać jak maryonetki“. I doży-

liśmy wnet potem cenienia polityki galicyjskiej ze strony polityków, których wytrawność dzisiaj wiadoma całemu światu. —

Do sąsiadów naszych zakarpackich wyprawiła poselstwo z Wiednia delegacya galicyjska. Gdy poselstwo tam stanęło wśród zgromadzenia znakomitych obywateli węgierskich w kasynie narodowem w Peszcie i przywodzca poselstwa tego, przewodniczący oraz delegacyi sejmowej i najżarliwszy harcerz za wysłaniem delegacyi, wygłosił wymowne powitanie: nie znaleźli Węgrzy słów na odpowiedź — ba słowa jednego! oni, mistrze słowa publicznego. —

I widzieliśmy, że politykę większości naszej sejmowej cenią mistrze polityki wysokim rozumem politycznym tak, jak my ją ocenialiśmy prostym instynktem wieśniaków. I przekonaliśmy się, że polityka utylitarna, polityka pożytku, dla tego się tak nazywa, że żadnego nie przynosi pożytku. I poznaliśmy, żeśmy instynktem słusznie odgadli, iż polityka poczynać sobie ma jak gospodarka: Odgraniczyć dokładnie obszar, a granic wytkniętych nie dać uszczerbić z żadnego powodu. A polityka kraju wytyczyć ma granicami nietykalnemi obszar praw kraju. I rozumiemy, jak Jules Favre, który niedawno mówił w francuzkiem Ciele prawodawczem: Albo kraj ma jakie prawa, albo ich nie ma. Jeżeli nie ma, to nie ma o czem mówić: a jeżeli ma, nie wolno od nich w imię kraju odstąpić nikomu, a najmniej tym, co na się wzięli obronę tych praw.

A gdzie świadomość tych praw, świadomość przekonania: tam już jest i świadomość planu, środków, jak praw tych bronić.— Bez tej świadomości żadne ciało reprezentacyjne nie może się stać całością organiczną, spojoną ze stronnictw należycie uszykowanych, jako ciało składa sie z różnych systemów i jest całością jednolitą. Bez takiej organizacyi stronnictw nie może być polityki, bo nie może być wyrozumienia istotnych potrzeb i dążności kraju, a tak kraj jak rząd, dla dobrego prowadzenia rzeczy, tego koniecznie potrzebuje.

Jasna rzecz tedy, że polityka wszelkiego ciała reprezentacyjnego za podstawę mieć może tylko dokładnie wytyczony obszar praw nietykalnych, przynależących reprezentowanym. Polityka zwana utylitarną nie jest więc wcale żadną polityką, bo ona nie staje na obszarze praw nietykalnych, i nie staje na krańcach tego ob-

szaru dla odparcia wszelkiego uszczerbku granic nietykalnych, ale wyprawia skoki dla pochwycenia tego, co się pochwycić da.— Polityka zwana utylitarną, nie jest polityką, ale negacyą wszelkiej polityki, i dla tego nie ma planu; a nie mając planu nic utworzyć nie może. Polityka zaś, co dotychczas była u nas sterującą, nie jest nawet taką polityką utylitarną: bo ta chwyta, co się chwytać da, dotychczasowa żaś polityka nasza umie tylko chwytać, co się samo chwytać daje, co samo w ręce wpada. —

Na drodze prostego rozumu dochodzimy więc do takiego rezultatu: Polityka dotychczas u nas sterująca nie mogła wydać plonu należytego, bo nie jest wcale polityką, ale negacyą wszelkiej polityki. — A polityki w prawdziwem tego słowa znaczeniu nie ma u nas, bo nie ma stronnictw, a stronnictw nie ma, bo nie ma przekonań politycznych w prawdziwem tego słowa znaczeniu; a przekonań takich nie ma, bo nie ma pracy statecznej, ciągłej, sumiennej, zrzekającej się wszelkiej korzyści własnej i wszelkich widoków osobistych. Nie ma więc polityki, bo nie ma stronnictw, a nie ma stronnictw, bo nie ma polityki — bo powódź utylitaryzmu zatopiła życie publiczne, a nawet domowe.

Lecz oto, Bóg łaskaw, już spływać poczyna ta zgubna powódź i wychylają się już po nad toń mętną, jakby szczyty zbawcze, przekonania — i stać się mogą punktami zbornemi dla tych, co ocaleli z tego potopu.

A da Bóg, że i wybrańcy kraju w wielkiej liczbie zdrowo i cało pojawią się ponad mętami utylitaryzmu.

A nauczeni bogatem doświadczeniem czasów ostatnich, zrobiwszy ścisły rachunek z przeszłością i teraźniejszością, obrachują ściśle i przyszłość, i staną jaśniejący godnością i wysokiem pojęciem — że im się pokłoni i Wiedeń i sąsiad zakarpacki i wszystek lud od Bałtyku po morze Czarne — i mir im będzie u Boga i u ludzi.

W sprawie oświaty i szkół ludowych,

przez B. T.

„Jesteśmy za tem, aby ogół do cywilizacyi podnosić i oświatę między ludem wiejskim szerzyć. Dla dopięcia celu tego żadna

ofiara nie jest zbyt wielką". Oto część programu Reformy. Piszemy się na to zupełnie, bo mamy to głębokie przekonanie, że tylko tą drogą do pomyślności i szczęścia narodu i do spełnienia najdroższych sercu naszemu życzeń dójść możemy. Miał starożytny Rzym między innemi dwie świątynie, świątynię Cnoty i świątynię Sławy. Świątynie te stały jedna za drugą tak, że do świątyni sławy tylko przez świątynię cnoty dostać się można było. Tak uzmysłował starożytny świat tę wielką prawdę, że prawdziwej sławy tylko cnotą dobić się można. Otóż i do świątyni szczęścia tak pojedyńczego człowieka jak i całego narodu tylko jeden jest wstęp — przez świątynię oświaty. Dowodzić tej prawdy nie myślimy; dowiodły jej wieki. Mała Hellada oparła się olbrzymiej potędze Persów, a zwyciężona przez Rzymian pokonała zwycięzców: *Græcia victa Romam victricem cepit.* Dokazała zaś jednego i drugiego jedynie swoją oświatą. A co dodało orężowi rzymskiemu tej siły, którą cały świat zawojował i po wieczne czasy piętno swego ducha na zwyciężonych wycisnął? Wyższość oświaty, odpowiadamy śmiało. I dziś te tylko narody przodują ludzkości, w których oświata najgłębsze i najszersze zapuściła korzenie.

Spoglądnijmy teraz na siebie. Należymy niezawodnie do narodów oświeconych, bo to, co istotę oświaty stanowi, krąży w duchowej sferze i naszego narodu. Ale jakże szczupły stosunkowo jest między nami zastęp reprezentantów prawdziwej oświaty! Całe warstwy społeczności naszej pogrążone w grubej ciemnocie, a ogromne obszary wiedzy ludzkiej leżą u nas albo zupełnie albo po większej części odłogiem. Lud wiejski, ta najliczniejsza część narodu, w jakże surowym jeszcze znajduje się stanie! Jak mało poznaje on godność, prawa i obowiązki człowieka i obywatela; jak obce są mu wszelkie szlachetniejsze dążenia do wolności, piękności i wspólnego braterstwa; na jak niskim stopniu rozwoju znajduje się samo rodzinne jego życie! Małomieszczanie nasi, to z małymi wyjątkami chłopi w kapocie, jak się ktoś słusznie wyraził. Żydowstwo nasze, stosunkowo tak liczne, utonęło w najgrubszym materyaliźmie, a im ruchliwsze, i więcej posiada znajomości handlowych i przemysłowych stosunków, tym szkodliwsze społeczności naszej, bo mu brak gruntu prawdziwej oświaty, na którym jedynie zakwitnąć mogą cnoty obywatelskie — miłość ojczyzny

i poświęcenie się dla dobra ogółu. Zastęp urzędników, którzy przecie jako stan kierujący, szczególnem wykształceniem odznaczać się powinni, jakże mało daje dowodów prawdziwej oświaty! Prawie wszędzie serwilizm, rzadko gdzie poczucie godności własnej; miasto samodzielności, najczęściej ślepa uległość i bierność. Między duchowieństwem nie widać Skarg, Krasickich, Naruszewiczów, Kałłątajów, Piramowiczów, Albertrandych, Staszićów, Woroniczów. A teraz rzućmy okiem na obszary wiedzy i sztuki ludzkiej i na ich przez nas uprawę. Z dziedziny nauk może jedynie dzieje ojczyste, a z dziedziny sztuk li poezya, muzyka i malarstwo znalazły liczniejszych i zdolniejszych uprawiaczy. Reszta nauk, mianowicie ścisłych, nie wielkim odznaczają się u nas postępem. Zastęp pracowników na tych polach szczupły, a i ci nie zawsze znajdują zasłużone uznanie i poparcie. A cóż mówić o rolnictwie, przemyśle i handlu? Nieufność we własne siły i nieznajomość skarbów własnej ziemi, brak samodzielności produkcyjnej i łączności przedsiębiorczej czyż nie są to smutne wyniki braku oświaty?

A jednak duch czasu prze niepowstrzymaną siłą do samodzielności tak pojedyńcze indywidua jak i całe społeczeństwa. Jutrzenka swobody zeszła i wlewa nowe życie w kościół, państwo i gminę, w rolnictwo, przemysł i handel. Nadszedł czas, gdzie czynność rządów i prawodawstwa do najmniejszej miary sprowadzić a samorząd i działalność obywateli do najwyższego stopnia rozwinąć pragniemy. A wszystko to wymaga koniecznie wyższej oświaty, wymaga tak intellektualnego jak i etycznego wykształcenia całego narodu, jeżeli dawne tamy karności i porządku runąć i powszechny zamęt w życiu nastąpić nie ma.

Przejdźmy na inne pole. Postęp czasu wymaga dla wydoskonalonych pracowni, rękodzieł i fabryk, nie tylko wykształconych przewodników, ale także i myślących, zręcznych, z pewnem estetycznem wykształceniem pracowników. Prowadzenie gospodarstwa wiejskiego według umiejętnych zasad nie przestaje na starym rutynizmie, ale żąda ludzi światłych i wykształconych, co by umieli korzystać z środków, jakie podaje umiejętność do usług człowieka, oto hasło wieku, oto przedmiot, w którym się oświecone narody o pierwszeństwo ubiegają, a zwycięztwo odniosą te, u któ-

rych dzielność moralna i umysłowa pracujących klas najwyższego dosięgła stopnia.

I jakiż z tego wszystkiego wynik? Oto, jeżeli chcemy, aby zdobycze wieku wyszły nam na pomyślność a nie na zgubę; jeżeli w familii narodów godne miejsce zająć pragniemy; jeżeli dążności nasze polityczne nie mają pozostać fałszywym apetytem, ale przyoblec się w ciało i kości; jeżeli nie chcemy, aby nas zalał obcy przemysł i handel, a krajowi naszemu, co z natury swej przeznaczony jest na karmienie zgłodniałych zamorców, brakło chleba dla własnych dzieci — dźwigajmy oświatę, a dźwigajmy ją wszyscy. Ciężka to i powolna praca; nie zakwitnie ona, jak rószczka Arona, i nie wyda przez jednę noc owoców, lecz potrzebuje czasu, potrzebuje wielkich i ciągłych ofiar. Ale któżby się nie podjął tej pracy, któż nie pospieszy choćby z wdowim groszem, gdzie idzie o szczęście narodu — co więcej, gdzie idzie o Hamletowskie b y ć albo n i e b y ć?

Rozmaite są drogi prowadzące do dźwigania i szerzenia oświaty. Najpewniejsza atoli i najkrótsza są szkoły. Zakładamy czytelnie dla klas nieoświeconych, staramy się o stósowne dla nich książki, urządzamy publiczne odczyty i wydajemy osobne czasopisma — a nie pomnimy, że aby z tego wszystkiego korzystać, trzeba umieć czytać, trzeba nabyć pierwej pewnej uprawy duchowej, pewnych wstępnych wiadomości. A tego wszystkiego mogą dostarczyć tylko szkoły. Czytelnie, odczyty i t. p. środki, mogą one się wprawdzie wiele przyczynić do rozszerzenia widokręgu duszy, do uzupełnienia wiedzy, do wyrobienia lub ustalenia w tym lub w owym kierunku zdania; ale nie wykształcą charakteru, nie dadzą fachowej wiedzy, bo nie działają ciągle, bo nie postępują systematycznie. A jednak prawdziwa oświata nie polega na pochwyceniu choćby bardzo wielu licznych wiadomości, ani nawet na gruntownem tej lub owej gałęzi nauk zbadaniu, ale na wykształceniu całego człowieka, na harmonijnym rozwoju wszystkich władz duszy — serca, rozumu i woli. Nie występujemy przeciw czytelniom ludowym, ani przeciw czasopismom, książkom i odczytom dla ludu przeznaczonym, ale redukujemy znaczenie tych środków do właściwej wartości. Nie zastąpią one nigdy szkoły,

i tylko tam przyniosą prawdziwą korzyść, gdzie są odpowiedne szkoły ludowe.

Szkoły ludowe! Któż nie słyszy codziennie tego wyrazu, kto go nie powtarza? A jednak jak mało jest takich, coby wiedzieli, co to są właściwie szkoły ludowe, i jakie być mają. Szkoły ludowe, jak to już sama nazwa wskazuje, mają to być szkoły dla ludu w ściślejszem słowa tego znaczeniu, t. j. dla ludzi niższych stanów, dla przyszłych rolników, rzemieślników i niższych przemysłowców. Jako takie mają one cel dwojaki: jeden ogólny czyli czysto ludzki, drugi specyalny czyli praktyczny. Cel ogólny nazywamy dla tego ogólnym, że ma on być najwyższym i ostatecznym celem każdej szkoły, wszelkiego wychowania. Polega on zaś na kształceniu człowieka na człowieka w najwyższem słowa tego znaczeniu; czyli, określając rzecz bliżej, polega on na prawdziwym wewnętrznym rozwoju człowieka we wszystkich kierunkach, w religijno-moralnym, umysłowym i estetycznym. Człowiek, który się do tego celu mniej więcej zbliżył, zwleka z siebie zwierzęcość i przyobleka ludzkość, duch bierze w nim przewagę nad ciałem, miejsce samowoli zajmuje prawo i sprawiedliwość, miejsce surowości i prostactwa ogłada i układność; cały świat jest mu objawem odwiecznej prawdy, dobroci i mądrości bożej; uważa on się jako cząstkę wielkiej całości, a każdego człowieka jako brata; miłość Boga i bliźniego dodaje mu skrzydeł, któremi się nad padoł ziemski unosi do wiecznego źródła, z którego wyszedł i do którego ma wrócić. Krótko mówiąc, szkoła ludowa, co do tego celu zmierza, rozwija boski pierwiastek w człowieku i jest niejako realizatorką woli Boga, co rodzajowi ludzkiemu wyższe wytknął przeznaczenie. *(D. n.)*

Korespodencya Reformy.

Lwów, 22 sierpnia 1868.

Siedemnaście miesięcy upłynęło, odkąd sejm wysławszy delegacyę do Wiednia rozjechał się, przez ten długi czas ileż fałszywych kombinacyi politycznych rozprysło się, jak bańka mydla-

na, ile obiecanek ministeryalnych nie ziściło się, ile przybyło ciężarów do przygnębiającego ludność nawału podatków, — a przecież, między zbierającymi się we Lwowie posłami wielu możnaby policzyć, którzy, jak owi emigranci francuzcy z czasów wielkiej rewolucyi, niczego nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli!

Jednak już na pierwszem posiedzeniu stanęła jasno kwestya, którą nazwalibyśmy chętnie kwestyą godności narodowej — bo niepodobieństwo łudzić się dłużej, a wszelkie dalsze ustępstwa na rzecz rządu byłyby wynikiem prostej tylko bojaźni, pozbawionej najbliższego nawet politycznego instynktu.

Wkrótkim czasie kraj dowie się, czyli reprezentacya jego skorzystała ze smutnych doświadczeń, czyli też zechce dalej jeszcze ze szkodą kraju poddawać się ministeryalnym insynuacyom.

Około południa zapełnili posłowie w liczbie około 100 salę sejmową. Przeważały stroje narodowe — kontusze obok wieśniaczych siermięg. Patrząc na to poważne zgromadzenie, trudno uwierzyć, że wielu z tych panów tak pięknie strojnych w złociste pasy, karabele, spinki przy kołpakach, tak żywo przypominających marsowe twarze rzeczypospolitej — że wielu z nich uchyliło głowy pokornie przed owym na dniu 2. marca „z góry“ nadesłanem poleceniem!

Zauważano nieobecność biskupów z Przemyśla i Tarnowa, ks. Konstantego Czartoryskiego, hr. Wodzickich, Jana hr. Tarnowskiego, Dr. Wyrobka, Grocholskiego, i innych, lecz prawdopodobnie przybędą, gdyż nie prosili o urlopy. Nie ma także ministra hr. Potockiego, a ks. biskup Gałecki oznajmia, iż wcale nie przybędzie.

Po zwykłem zagajeniu o godzinie 12 przez ks. marszałka, zabrał głos Namiestnik i w dłuższej mowie wyliczał postępy, jakie, zdaniem jego, kraj uczynił na drodze swobód autonomicznych. I tak: mówił o zaprowadzeniu ustawy gminnej na całej przestrzeni kraju — przepomniał atoli dodać, że dzięki rozdzieleniu dworu od gromady, większość gmin naszych nie jest zdolna do wykonywania powierzonych im czynności, tak, iż miasto upragnionej zmiany na lepsze, ludzie trzeźwo widzący nie mogą w obecnym stanie nic innego dostrzegać, oprócz ciągłego prowizoryum. Wspominając o serwitutach, podniósł hr. Namiestnik tę okoliczność, że z ostate-

cznem ukończeniem tej sprawy zniknie zarzewie niezgody w naszem społeczeństwie; dalej mówiąc o radzie szkolnej, rzekł, iż „kraj cały otoczył ją swojem zaufaniem, a pod skrzydła jej garnie się młodzież, ta nadzieja naszej przyszłości“. Tym ustępom towarzyszyło lekkie brawo, inne słuchano w poważnem milczeniu.

Dalej zapowiedział Namiestnik szereg wniosków rządowych, między któremi wniosek o uznaniu obu języków krajowych za obowiązkowe w szkołach ludowych, i bardzo ważny wniosek o podzielności gruntów; nie ma jednak wzmianki o zapowiadanych projektach ministeryalnych co do seminaryów nauczycielskich.

Na zakończenie zaś rzekł hr. Gołuchowski, iż uchwalone w radzie państwa ustawy zasadnicze rozszerzyły zakres autonomii i dozwalają swobodny rozwój samorządu krajowego — że wreszcie jest upoważnionym do oświadczenia, iż rząd ściśle przestrzegać będzie granic zakreślonych między kompetencyą rady państwa a sejmów.

Słowa o rozszerzeniu autonomii przez ustawy zasadnicze brzmiały zaiste jakby gorzka ironia..... Bolesny uśmiech zauważaliśmy na twarzach kilku posłów — wśród milczenia grobowego usiadł namiestnik — lecz nie długo czekał na odpowiedź.

Dr. Franciszek Smolka zabrał głos. Przypomniał on zgromadzeniu, że owe ustawy zasadnicze położyły właśnie kres rozwojowi autonomicznemu, rozpoczętemu dyplomem październikowym 1860, że samorząd został najzupełnij ograniczony do nic nieznaczących spraw, że, co gorsza, jest to faktem dokonanym, ponieważ delegacya brała udział w uchwaleniu tych ustaw. Tu zagrzmiało rozgłośne brawo z galeryi — marszałek w uniesieniu zawołał, iż zamknie posiedzenie, jeżeli publiczność nie powstrzyma się od objawów zadowolenia.

Dr. Smolka spokojnie mówił dalej, nieobwiniając delegacyi, ale raczej uchwałę sejmową z 2. marca, i postanowił wniosek tej treści: Uchwała 2. marca ma być cofniętą — delegacyę wzywa sejm do złożenia mandatów — wniosek ma być odesłany komisyi z 15 członków, której wybór w poniedziałek nastąpi.

Zyblikiewicz twierdzi, że owe ustawy zasadnicze nie są bynajmniej faktem dokonanym, gdyż delegacya przeciw niem głosowała i sejmowi zostawiła wolne ręce. Zresztą zgadza się na wniosek

Smolki, zastrzega sobie jednak poprawkę, którą na bliższym posiedzeniu sformołuje.

Krzeczunowicz oświadcza, iż złoży mandat bez wezwania. (Naszem zdaniem jedyny to honorowy sposób wyjścia z fatalnego położenia, w jakie zawikłali się nasi delegaci).

Nie małą zasługę ma czci godny poseł Smolka, iż z prawdziwie polską otwartością postawił kwestję zupełnie jasną; czas półśrodków i polityki utylitarnej już przeminął, a jeśli sejm nasz nie zdecyduje się na krok śmały i stanowczy, to zaiste można zwątpić o przyszłości kraju.

Wniosek Smolki postawiony bezpośrednio po pojednawczej mowie Namiestnika, będzie niejako sztandarem opozycyi sejmowej. O ile można wnosić ze słów Zyblikiewicza, przychyliłyby się do niej posłowie krakowscy.

Rzecz będzie oczywiście omawiana na recepcyach u Namiestnika i Marszałka, i na poufnych kółkach poselskich, gdyż jak słusznie powiedział Leszek Borkowski podczas uczty danej na cześć Tonnera: „*Summarum rerum semper inter paucos initia.*“

Nastąpiły wybory sekretarzy i rewidentów. Podczas przerwy w czasie skrutynium hr. Gołuchowski rozmawiał z Leszkiem Borkowskim, a później przez trzydzieści kilka minut z p. Ziemiałkowskim. Rozmowa p. wiceprezydenta z p. namiestnikiem była żywą — i nie dziw; gdyby wniosek Smolki uzyskał większość, sejm i kraj na nowe wszedłby drogi. Czyli to jednak nastąpi — Bóg wie; przedewszystkiem niechaj ci posłowie, którzy jeszcze nie przybyli — a między nimi wielu takich, na których kraj z pewnością liczy — pospieszają na swoje stanowiska; niechaj nad miłoscią własną i upornem obstawaniem przy własnem, chociażby błędnem zdaniu, przeważy przywiązanie do ojczyzny — a wtedy można jeszcze powetować straty, jakie poniósł zarówno honor jak interes narodowy, przez, niegodne Polaków, postępowanie sejmu i delegacyi.

Zwaliska odrzykońskiego zamku
(z podróży)

przez

J. GORDONA.

Na cyplu baszty zwalisk odrzykońskiego zamku, należących do najpiękniejszych tego rodzaju zabytków w Galicyi, stał mój kolega, Artur, samotny, jak duch tradycyjnej baśni, jak posąg człowieka na posągu świata, z założonemi rękoma, żegnając ziemię sanocką.

Z dala rozpościerały się przed nim na widnokręgu dwory i wioski, w których cząstkę swego żywota zostawił; mnóstwo różnorodnych wspomnień i mrzonek cisnęło się do duszy!

Po nad nim niebiosa roztaczały szatę błękitną, a obok fantastyczne, szczerbate skały patrzyły na się w straszliwem milczeniu — niby sfinxy przeszłości.

O! ileż to o owe drzemiące głazy otarło się modlitw ludzkich. Ileż tam razy odbiło się echem westchnienie wędrowca, westchnienie boleści, żalu i tęsknoty!

W zwaliskach panowała cisza.

Od chwili tylko do chwili szmer jodeł nucił smętną piosenkę, jak arfa eolska; nucił i ucichał zwolna. To znowu wierzchołki wysmukłych drzew pochylały się ku sobie, coś szemrząc tajemniczo, jakby spisek knowały.

Chmurki, podobne do kędziorów wełnistych, słaniały się po urwiskach skał. Tak były białe i elastyczne, że brała ochota sięgnąć po nie ręką!

Dalej czarnego ptactwa stado zataczało w powietrzu pierścienie żałobne.

Rozmarzony Artur zstępował tymczasem z wyżyny, wpatrując się uroczyście w omszałe mury, starając się coś wydobyć z tej kamiennej historyi, spoczywającej pod kotarą z odwiecznych mchów i bluszczów uwitą.

Aliści spostrzegam przy sobie dwie cudowne postacie: poważnego staruszka i młodą dziewicę, co nagle wyrosły z ziemi, podobne do dwóch zaklętych duchów starożytnych ruin.

Zaklęty staruszek, pochylony i siwy, wspierał się na kiju. Zaczarowana kasztelanka o jasnem fosforycznem oku i długich, ciemnych rzęsach, uśmiechała się do starca — uśmiech zaś ten skradła od niebianek.

Grupa obojga przedstawiała uroczą wiosnę, pełną życia i blasku — wraz z jesienią pogodną, choć szronem pokrytą.

Na czole dziewicy był myśli wyraz i dowcip igrał na ustach.

Podróżni zwykle łatwo zawiązują znajomości, gdy się zejdą z sobą, zwłaszcza na opuszczonem, a pełnem drogich pamiątek, miejscu. Wtedy owe pamiątki, cały krajobraz, natura, sztuka, zdają się składać wraz z nimi harmonijną całość.

Artur postąpił ku nieznajomym, zbliżyłem się też do nich z naszkicowanym rysunkiem krajobrazu, i poczęła się wspólna gawęda — z początku, jak to najczęściej bywa: o wszystkiem i o niczem, zanim stała się interesującą.

Zasiadłszy na kamiennej, żłobionej płycie, sędziwy starzec, co wieku zapamiętał początek, co obszedł w życiu i morza i kraje, zaczął nam opowiadać dzieje zamczyska.

Obydwa zamieniliśmy się w słuch, i oto cośmy się dowiedzieli:

— Niegdyś w lasach odrzykońskich miała być ukrytą jaskinia rozbójników, z której robili wyprawy na okolicę, paląc i rabując sioła; a po drodze odzierając kupców jadących na jarmark do pobliskiego Krosna.

Łupy znosili na kraniec lasu, gdzie oczekiwał koń, który niemi obładowany uchodził w głąb puszczy do ukrytej pieczary, będąc do tego przyuczonym.

Tam dopiero zdejmowano z niego towary.

Wieśniacy okoliczni, gdy im się rozbójnicy dali we znaki, zebrali się w liczną gromadę, a zrobiwszy obławę, wyłapali zbójców i wywieszali ich na najwyższych jodłach; — konia zaś, ich uczonego wspólnika, odarli ze skóry i puścili na postrach złym ludziom.

Potem las na górze wykarczowano — stanął na tem miejscu ogromny zamek — a koń, jak gdyby pokutnik nie mógł zdechnąć, żył długo, i wałęsał się odarty koło zamku.

Odtąd sioło nazwano Odrzykoniem.

Co do samego zamku, krąży podanie, że wzniósł go magnat Bonar, który miał dwóch synów; — więc, jako poczciwy ojciec, wybudował dla nich ten zamek podwójny, czyli raczej dwa zamki o jednym dziedzińcu i jednej studni wspólnej, aby dwaj bracia napój w niej czerpali w jedności i zgodzie.

To się atoli nie udało.

Panowie bracia — jak się zdarza między ludźmi dążącymi do upadku — poważnili się z sobą o ową wspólną studnię, jeden drugiemu wnijście na dziedziniec zamurował.

Ten ostatni rozwścieklony kazał swemu wojsku mury zburzyć — i obydwa zwarłszy się z sobą przy studni, polegli z bratobójczej dłoni. Ciała ich wrzucono do tejże samej studni, która zaraz się zasypała; zamek częścią się rozwalił, częścią zgorzał,— i widziano krwawą parę rodzonych braci ulatującą w płomieniach, od których zarumieniło się zachodzące słońce.

Odtąd w każdą rocznicę dnia tego krwawo słońce zachodzi, odziewając zwaliska czerwoną łuną — lud klęka i modli się za dusze Bonarów, bo w podziemiach słychać szczęk oręża i okropne jęki.

Cóż to za piękna tradycya!...

Lecz następuje po niej jeszcze piękniejsza, jakkolwiek nie odpowiadająca poprzedniej pod względem daty chronologicznej wypadków; gdyż wedle tej legiendy Bonarowie byli ostatnimi dziedzicami zamku, poprzedzali ich zaś Firleje.

Dziewięćdziesięcioletni nasz staruszek, który w dzieciństwie swojem widział odrzykoński zamek w nierównie lepszym stanie niż jest dzisiaj, ukazując na szczątek dawnej, rozsypującej się wieżyczki, na wierzchu której sterczą resztki okna na kilku cegiełkach, opowiadał smutną bardzo powieść:

— Wojewoda Firlej, pan możny i dumny, miał śliczną, ukochaną, córkę jedynaczkę. Lubiła ona przesiadywać w wieżyczce, bo ztamtąd poglądała na wszechświat, gdy w zamczysku było jej ciasno, smętno, ponuro.

Był to czas wojenny.

Głuchą ciszę murów przerywał tylko niekiedy brzęk kajdan jeńców, zamkniętych w lochach podzamkowych.

Pewnego poranku przyprowadzono młodego rycerza i wtrącono go do podziemi — pod wieżę wojewodzianki.

Jeniec tak pięknie i rzewnie śpiewał w więzieniu, że wojewodzianka zakochała się w śpiewie, nie widząc śpiewaka.

Raz ojciec pozwolił jej w dzień imienin zanieść do siebie jakieś żądanie; prosiła tedy, aby wolno było pojmanemu rycerzowi choć przez godzinę oddychać świeżem powietrzem.

Prośba jej wysłuchaną została.

Wyprowadzano odtąd nieszczęśliwego na jednę godzinę, on zaś siadał pod wieżą opiekunki i coraz piękniej, coraz tkliwiej i tęskniej nucił swe piosenki, tak, że ptaszki zatrzymywały się w locie, aby im się przysłuchać.

Wojewodzianka uczuła, iż bez niego żyć nie potrafi, i nie taiła się z tem.

Oburzony ojciec niestosowną miłością córki, kazał natychmiast więźnia stracić.

Za pół godziny wywiedziono go z kaźni na dziedziniec. Na pożegnanie śpiewał smutną dumkę, gdy drżąca wojewodzianka w oknie wieży stała, ręką mu niebo ukazując; — skoro zaś rozległo się echo od cięcia topora, nieszczęsna wyskoczyła oknem; a tak dwa duchy złączone uleciały w obłoki.

Dziewczęta spacerujące wśród ruin w dzień świąteczny, widują dotąd śliczną twarz wojewodzianki, wyglądającej z okna wieżycy, i słyszą smętną dumkę jej kochanka.

Staruszek skończył opowiadanie, zadumał się głęboko, jakby zbierając myślą historyczne przygody.

W źrenicach pięknej nieznajomej, wspartej uroczo na jego ramieniu, błyszczały krople rosy, lecz nie deszczowej to rosy....

Najwięcej krąży podań o Oświecimach.

Główną treścią tych ostatnich jest: gwałtowna miłość między bratem a siostrą.

W Krośnie pokazują dotąd groby Oświecimów w kościele OO. Franciszkanów. Jest tam nad lochem kaplica, a w niej są portrety familijne. Wnosząc z nich, Anna była przyrodną siostrą Stanisława; gdyż wizerunki przedstawiają dwie matki, a jednego ojca.

Powiadają, że Stanisław wysłany w dzieciństwie do szkół zagranicznych, zostawił Annę w kolebce. Gdy powrócił za lat kilkanaście po śmierci ojca, ujrzał ją najprzód w gronie rówienniczek, nie wiedząc, że jest jego siostrą. Zrobiła na nim niewymowne wrażenie. Dowiedziawszy się o pokrewieństwie, bardzo podobno rozpaczał, pomimo to nie chciał odstąpić od pierwszej myśli — ożenienia się z nią.

Podali o pozwolenie do Rzymu. Że zaś to nie nadchodziło, a czuła para, nie mająca już rodziców, sama zamieszkiwała w zamku, szarpano sławę Anny do tego stopnia, że zdrowie jej z przyczyny cierpień nadwątlone zostało.

Stanisław udał się osobiście do Rzymu — czynił tam najusilniejsze starania — ale że szło mu trudno — więc nic pomyślnego nie mógł donieść narzeczonej — nareszcie listy od niego przychodzić przestały.

Ze zgryzoty życie Anny z każdem ulatało tchnieniem.

Pewnego razu, gdy siedziała przy krosienkach i, jak wierna Penelopa, zajmowała się haftem, wyszywając pas dla swego kochanka, wpada goniec i przynosi jej list. Ona łamie pieczęć, czyta i pada zemdlona.

List zwiastował tyle upragnione pozwolenie na jej związek ze Stanisławem. Zbytnia radość ze szczęścia, którego się nie spodziewała, wstrząsnęła jej systemem nerwowym, a samą złożyła na łożu boleści.

Wkrótce Stanisław powrócił z włoskiej stolicy. Już noc była, gdy zatrąbił u bramy zamkowej. Giermek ze łzą przywitawszy pana, zapalił pochodnię i przewodniczył mu po schodach, otoczczonemu orszakiem dworzan.

„Siostra moja“ rzecze „nie śpi jeszcze zapewne... prowadźcie mnie do niej!... chcę jej sprawić uciechę niespodzianą.“

Domownicy nic nie odpowiedzieli, milcząc szli za panem, i tylko z piersi podeszłego wiekiem marszałka wydobyło się głuche westchnienie.

W sali rycerskiej płoną światła i rzucają łunę przez różnokolorowe gotyckie okna, umieszczone nad drzwiami.

Do sali tej wiodą Stanisława.

Drżącą ręką otwiera marszałek podwoje; Stanisław wstępuje i staje jak piorunem rażony na widok mar jarzącemi okolonych świecami, i komnaty w czarne kiry przybranej.

Na marach widzi swoją ubóstwioną Annę z rozmarynową gałązką w uplotach kruczych włosów, — a przy niej dwie zapłakane dziewice, w żałobę odziane.

Drugie podanie opiewa, że bez pozwolenia papieża (Innocentego X) Stanisław poślubił Annę.

Prawdziwość tego podania popartą jest aktami kościelnemi. W Krośnie można widzieć siedm trumienek dziwnie małych, obejmujących jakoby dzieci Stanisława i Anny. Lecz jest to nieprawdopodobnem. Wierzyć raczej można, iż wspomnione dzieci należały do rodziny Oświecimów w ogóle; gdyż to pewne, że Anna bardzo młodo zmarła.

Lecz niestety! dziś patrząc na owe groby Oświecimów, mimowolnie przejętym się jest uczuciem żalu na widok panującego w nich zaniedbania, które, jakoby cecha bieżącego stulecia, na każdym niemal u nas pomniku starożytności piętno swe wyciska. W grobach onych dają się postrzegać zwłoki olbrzyma-rycerza Pełki we dwoje złamane i wtłoczone do skrzynki!... Czyż OO. Franciszkanów nie stać już na trumnę ani na zebranie składki, żeby sprawić takową?... Czyż, w ostatnim rażie, nie mogliby naznaczyć ceny na wnijście dla zwiedzających groby;.... czyż nie warto, aby nowożytni pigmejczycy płacili za pozwolenie odwiedzenia ciał olbrzymich przodków swoich?...

Coraz bardziej zacierają się zabytki naszej przeszłości, — te zaś, co nie zniszczone zostały twardym zębem czasu (dziesięciu wieków, odkąd naród polski wystąpił na widownię dziejów), których wróg obalić nie zdołał — upadły podkopane przez naszą własną obojętność. To smutno!

Nie ulega wątpliwości, że Naród zajęty jest teraz wielką myślą budowy przyszłości na zgliszczach i rumowiskach; pomimo to, czyż w sercach przepełnionych miłością i poświęceniem dla kraju, głos przeszłości, szmer wydobywający się z mogił praojców naszych, nie powinien znaleźć posłuchania?...

Wszak z poniewierką popiołów ojcowskich szła i poniewierka synów. Wątpliwy plon zaiste ze skiby zaoranego grobowca rodzicielskiego!

Zastanówcie się nad tem, mili Krośnianie!...

Wam zaś, którzy obecnie nie szczędzicie pracy i mozołu na zbieranie funduszu do złożenia w jedną całość gruzów naszej kamiennej historyi — Wam dzięki!...

Dopóki baszty polskich zamków, wieże polskich świątyń poważnie rysują się na naszem podniebiu, jako jedyni świadkowie świetnej przeszłości Narodu; — dopóki matka Polka, ukazując na zabytki starożytności, uroczyście opowiada zaczynającemu myśleć synowi dzieje naszych bohaterów, dopóty lęka się wróg, aby jakiś kamień odrywający się znienacka od baszty groźnego zamczyska lub od zrabowanego kościoła nie roztrzaskał mu głowy!...

Są jeszcze inne podania, na których tle usnutą została tragedja p. t.: „Anna Oświecimówna“, lecz ponieważ uwydatnione w niej fakta posłużyły raczej Autorowi do zawiązania intrygi w dramatycznem dziele, niżeli do rozświecenia przeszłości, pomijamy je zatem na tem miejscu. To pewne, że zamek nie był — jak Autor dowodzi — napadnięty i zburzony przez Tatarów, gdyż dużo później był jeszcze zamieszkały; atoli uległ może jakiemu innemu niszczącemu napadowi.

Rozstając się ze zwaliskami w Odrzykoniu, nie podobna nie wspomnieć o „psządkach“, tyle one mieszczą w sobie poezyi!

Niechaj Czytelnik wyobrazi sobie naprzeciw zamkowej góry, drugą, równie wysoką, oddzieloną od tamtej lesistym parowem;

a na niej ogromne, jakby piętrowe domy, kamienie białe, śliczne, w najrozmaitszych kształtach, jużto równo wystrzeliwające w górę, już poprzyczepiane do małych płyt, grożących skruszeniem się, a będzie miał „psządki“, o których tak starzy ludzie opowiadają:

Niegdyś zuchwałe **psządki** ośmieliły się pójść z kądzielą do lasu w dzień świąteczny, i w czasie mszy św. skamieniały. Kamienie ich trupów rosną ciągle — i widać je już o mil dziesięć na postrach bezbożnym.

O innych zaś mniejszych kamieniach rozrzuconych po lesie — opowiadają dzieci odrzykońskie — że są to skamieniałości owych dziatek, które podczas nabożeństwa poziomki zbierały.

Kamieni takich nagromadziłaby się już była ogromna masa, gdyby Odrzykoń nie obfitował w kamieniarzy, którzy starają się użytkować z tych dzieł przyrody.

Przed wiekami stała na tem miejscu wieś bogata, szczęśliwa, mlekiem i miodem płynąca. Ale mieszkańcy jej odpłacali się Bogu najczarniejszą niewdzięcznością. Cała osada była zgorszeniem dla sąsiadów, miejscem zbrodni, bezbożności i rozpusty. Pan Bóg nie mogąc doczekać się poprawy, zesłał straszną karę dla przykładu całego kraju — ziemia się rozstąpiła i pochłonęła tę Sodomę, a na miejscu sioła został tylko grunt skalisty, który później zarósł lasem i manowcami.

Gdy raz przelatywali tamtędy aniołowie, zapłakali nad potępionem siołem, a łzy ich ciekąc kamieniały.

W święta lud odrzykoński krąży między ruinami zamczyska, jako i między **psządkami**, sadowiąc się tam i owdzie w malowniczych grupach.

Lud kocha te rumowiska, te kamienie. Legiendy rozmarzają go, kształcą nawet. Owe legiendy są to wielkie prawdy ludowe, wyciąga on z nich zawsze moralną naukę.

I tak, wśród roztaczającego się obrazu rozbicia narodu polskiego i jego pasowania się, obrazu strasznego, ciemnego i przerażającego — z pod jego czarnego tła wytryskują gdzieniegdzie ogniste strzały blasku zakrytego słońca.

Tem słońcem — to niespożyty duch ludu polskiego!...

Po nad nim chmura przemijająca... a tą chmurą były i są grzechy nasze.

Niech nikt nie powiada — mówimy to z Ujejskim, Schmittem, Trentowskim i serdecznym przyjacielem Polski, Michelet'em — że na naszym narodzie popełniono morderstwo — popełniono tylko gwałt! Zabić narodu nikt nie potrafi, ani Bóg — tak, ani Bóg! bowiem i On Wszechpotężny bez naszego własnego przyczynienia się nikogo z nas ani potępić, ani zbawić nie może. Tak! przez morderstwo żaden naród zginąć nie może, ale on zginąć może przez samobójstwo.

Fundamentem szerokim narodu polskiego, fundamentem z nieociosanych brył granitu, był lud i wyszłe z niego mieszczaństwo.

Na tym fundamencie wspierał się piętrowy budynek hierarchii szlacheckiej. Dolna jego część składała się ze surowego, ale przeważnie zdrowego materjału, — a czem dalej w górę, ostatniemi czasy, tem gorzej: tam już ściany lepione z morszałej gliny, gdzieniegdzie przetykane zdrowemi kamykami, cóż z tego? kiedy bez łączności z sobą.

A na takim budynku dach możnowładztwa, spleśniały, zarażony roztaczającym go grzybem zepsucia — dach podziurawiony, przepuszczający przez siebie każdy wicher, każdą plutę zewnętrzną — sam gnijący i rozszerzający zgniliznę na cały budynek.

A na tym dachu król — jedwabna chorągiewka.

I czyż tego rodzaju gmach mógł się ostać?...

Runął!... bo runąć musiał.

Od przeszło pół wieku czyścimy i równamy plac, poramy się w tych gruzach — znaleźliśmy w nich wiele dobrego materjału — a co najważniejsza, fundamenta zostały!...

Przyznanie się do błędów, to pierwszy szczebel do każdej poprawy. Już raz trzeba nam przyjąć tę prawdę, chociaż ona nie smakuje, że upadliśmy przez nasze własne niedołęztwo.

Gdyby Polska zdobyła się była na jedną chwilę zapału i ofiary, na jedną taką chwilę, na jaką zdobyła się równocześnie Francja w wiekopomnej nocy 4 sierpnia, w której uprzywilejowani rzucili w ogień, płonący na ołtarzu miłości ojczyzny, wszy-

stkie nabyte prawa, wszystkie tytuły i przywileje, i podnieśli cały naród do równej godności obywatelskiej, lud rozkuli z pęt, dali mu ziemię, swobodę, i powiedzieli mu:

„Macie, czegoście pragnęli; a jeżeli wróg nadejdzie, brońcie tych nabytków!“

Gdyby tak było się stało, Polska byłaby odparła wszystkie na nią idące burze, i trwałaby po dziś dzień!

Naród jest dzisiaj tem, czem był w dawnem pojęciu król, wyrazem najwyższej władzy — i jak każdy mocarz lubi on pochlebstwa, a nie znosi prawdy.

Król się dowiadywał dawniej prawdy z ust nadwornych trefnisiów, dziś kryć się ona musi w pismach humorystycznych.

Kto pochlebia narodowi jako władzy, jest niegodnym jurgieltnikiem, zapłatą mu — popularność. Żaden niedołężny król nie miał tylu schlebiaczy, ilu ich miał nasz rozbity naród. Głaskano ciągle jego uszy harfianem słowem: Niewinna ofiaro! jakże ci pięknie w aureoli męczeństwa!...

A narodowi należało ciągle powtarzać: Marnotrawco! roztrwoniłeś wszelkie skarby.... jakże ci dziś brzydko w łachmanach żebraka.

I źle robią ci, którzy mówią: Czekajcie cierpliwie i bądźcie dobrej myśli, — Polska będzie!...

A należy mówić: Nie będzie! jeżeli na nią sami nie zapracujemy.

Jeszcze więc raz: Upadliśmy przez nasze własne winy; i podnieść się nie możemy, tylko przez nasze własne zasługi.

Wiemy już teraz, jak jest niebezpiecznie wiązać się ściśle z mocarstwem, o którego obłudzie mieliśmy sposobność przekonać się nie raz (plany Czartoryskich).

Wiemy, jak jest nikczemnie oddawać się w opiekę temu Państwu, które ledwie nie wczoraj najętemi zbójcami mordowało naszych ojców, rozparało żywoty naszych matek (rzeź humańska).

Wiemy teraz także, jak jest niekorzystnie — dla tak zwanego „dobrze zrozumianego interesu kraju“ robić ustępstwa z tego, co jest najdroższem i najświętszem, czy to dla pojedyńczego człowieka, czy dla narodu — ustępstwa z godności jego; jak chcąc takim kosztem ocalić coś, traci się potem wszystko... i idzie się

gorzej, niż w zatratę imienia — idzie się w śmierć moralną (sejm grodziński).

Dziś, po wielkiem wysileniu, po wielkiej klęsce, przyszła na naród niby to śmierć pozorna. — To nie śmierć! To sen tylko, dający wypoczynek i pokrzepienie. Lepsza część narodu wstąpiła jakoby w cyklopową głębię, gdzie pracuje, nabiera sił zanim wystąpi na wierzch. Tak było u nas po wszystkie czasy! A tymczasem na wierzchu ziemi krzątają się wielcy ludzie do małych interesów, nadymające się karły, szczęśliwi, zadowoleni, i oblekają kraj jakby skorupą pleśni, w której rusza się robactwo.

Ale po dniach Judaszowych zdrad — Piotrowych zaprzeń — i Piłatowych sądów — po dniach męki i krzyżowań — nastąpi zmartwychwstanie!..

Zapiski bibliograficzne

(z roku 1868).

Amerykanie. Sielanka dramatyczna w 4 obrazach. 8vo, 49 str. Bydgoszcz.

Bellinger. Krótki rys jeografii dla młodzieży. Wydanie 6tę. 8vo, 94 str. Bochnia.

Biblioteka Ossolińskich. X. Lwów.

Bojarski, Dr. m., prof. uniw. Jagiell. O sądach przysięgłych. 8vo, Kraków.

Bolesławita B. Rachunki z r. 1867. 8vo, 2 tomy, 1268 str. Poznań. Dzieło to stanowi niejako historję życia narodu naszego w roku zeszłym.

Bolesławita B. Tułacze. II. Poznań.

Bukowiecki Julian. Obmyślanie środków, któremi najlepiej i najskuteczniej działać można na podniesienie gospodarstw włościańskich i umiejętności gospodarowania pomiędzy włościanami. 8vo, str. 16. Poznań.

Chotomski Bolesław. O mechanizmie zapisów kupieckich. 8vo, str. 16. Poznań.

Chotomski B. Rzecz o towarzystwach zabezpieczeń od ognia i zabezpieczenia bytu. 8vo, str. 28. Toruń.

Czpara K. Kongres europejski w obec ducha czasu. 8vo, str. 48. Poznań.

Czyrniański Emil, Dr. Rozwinięcie krytyczne teoryi chemicznej, opartej na ruchach wirowych niedziałek. 8vo, Kraków.

Dzwonek. Pismo dla ludu, tom XVIII. Lwów.

France (la), la Pologne et le prince Napoleon. 12o, 140 str. Broszura ta zawiera powtórzenie zasad ogłoszonych już przez Świerszcza. Moto położone na niej wzięte jest ze słów księcia Napoleona: *„j'ai le coeur polonais"*. (mam serce polskie).

Giller Agaton. Historya powstania w r. 1861—1864. Tom II. Paryż.

Griesinger Teofil. Rządy kobiet na dworze Ludwika XIV i XV. Opowiadanie historyczne, z niemieckiego przełożone p. L. Część I. Czasy pani de Lavallière. Kraków.

Hückel E. Rys pedagogiki. 8vo, str. 150. Lwów.

Kasiński J., nauczyciel przy król. sem. w Poznaniu. Książka do czytania dla szkół katolickich elementarnych. 8vo, 356 str. Poznań.

Kinga. Polska niewiasta przez Podtatrzanina. 8vo, 62 str. Wiedeń.

Kozłowski Kornel Lud. Pieśni, podania, baśnie, zwyczaje i przesądy ludu z Mazowsza wraz z tańcami i melodjami. 8vo, 80 str. Warszawa.

Koźmian Stan. Gramatyka czyli kandydat do rady powiatowej. Krotochwila w 1 akcie. 8vo, str. 68. Kraków.

Koźmian A. E. Rok 1846. Dramat.

Kraków Paulina. Pamiętnik młodej sieroty. Trzecie wydanie z 4 rycinami. 8vo, 159 str. Warszawa.

Kraków P. Wspomnienia wygnanki, ozdobione 6 rycinami. 8vo, 250 str. Warszawa.

Kraszewski J. I. Biblioteka ludowa. O pracy. Jako moto: „Najłatwiej djabłu nad tym panować, kto się chce bawić, zamiast pracować." 12o, 87 str. Poznań.

Langie K. Magistrat wobec wolnej gminy. Uzasadnienie wniosku urządzenia władzy wykonawczej gminy miasta Krakowa. 8vo, 80 str. Kraków.

Le-Brun Tomasz. Komodje prozą i wierszem. 8vo, 235 str. Warszawa.

Libelt Karol, Dr. Znaczenie całkowitego zaćmienia słonecznego, przypadającego na dzień 18 sierpnia 1868. 8vo, 32 str. Poznań.

Organisation, die, des polnischen Aufstandes 1863—64 nach officiellen Quellen bearbeitet. 8vo, 38 str. Berlin.

Wedle urządzonego sprawozdania policmajstra Warszawy, jenerała Trepowa napisana.

Orzeszko Eliza. Ostatnia miłość. Powieść. Warszawa.

Stachurski Paulin. Trójka. Powieść w 2 tomach. 8vo, 472 str. Lwów.

Studziński Wincenty. Pieśni z towarzyszeniem fortepianu. Serja I. Krakowiaki. Kraków.

Ujejski Kornel. Mowa miana na pogrzebie ś. p. Artura Grottgera. 8vo, str. 10. (z portretem) Lwów.

Wrotnowski Lucyan. O potrzebie kodeksu międzynarodowego dla stosunków prywatnych. 8vo, 60 str. Warszawa.

Wydawca: K. Pollak.

Odpowiedzialny za redakcyę: Aleksander Krzyżanowski.